Zylbersztajn Noli tangere
Nowelka

Noli tangere.

NOWELKA.

SKREŚLIŁ

Natan Zylbersztajn

z WIŚLICY.

WARSZAWA.
Druk W. Thiella S-rów, Mylna 7.

1902.

Noli tangere.*)

NOWELKA.

SKREŚLIŁ

Natan Zylbersztajn

z WIŚLICY.

WARSZAWA.
Druk W. Thiella S-rów, Mylna 7.

1902.

*) Nie ruszaj.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 января 1902 г.

WIELMOŻNEMU

Ignacemu Poznańskiemu

Prezesowi Towarzystwa Dobroczynności miasta Łodzi

w dowód wysokiego poważania i szacunku

poświęca

AUTOR.

Quid sum miser, tum dicturus
Quem patronem — rogaturus? *)

Na ławeczce żelaznej, farbowanej na zielono, otoczonej gęstemi splotami dzikich winogron i z fantazją pnących się latorośli, siedziała młodziutka osoba, pogrążona w głębokiem dumaniu.

Jakkolwiek ławeczka była naprzeciw werendy, to jednakże nasza nieznajoma była tak zatopiona w myślach, że wcale nie uważała na ruch i ożywienie; — wesołe śmiechy i zgiełk towarzystwa pełnego życia, niczem nie zdołał zamącić jej głębokiej zadumy.

Są bowiem uczucia tak silne swą treścią i tak dominujące w naszym ustroju moralno-etycznym, że wobec nich dusza jest głuchą i niemą na całe otoczenie i na wszystko inne żadnego zdaje się nie mieć oddźwięku.

*) Do kogóż, jeśli nie do Ciebie, mam westchnąć, o Boże!

Ta psychologja, stwierdzona faktami i życiem rodzinnem, jest dostatecznie dowiedzioną.

Są boleści ogromne, które łzy nie wydobędą, bo dusza przy nich kamienieje. Są znów zachwyty, ekstazy i rozkosze, gdzie każde westchnienie, każde serca bicie, każda myśl, umajone nieznanym urokiem, mirjadami gwiazd błyszczących, usiana każda przestrzeń w niedoścignionym obszarze i horyzoncie zaczarowanym, wszystko błyszczy majestatem i purpurą.

Znikają wszelkie cienie kędy dusza w jasności zapatrzona; a słońca promienie nie ogrzewają, gdy w duszy żałość i utrapienie... To prawo Boga w przyrodzie, niezachwianą jego myślą i logiką bezwzględną do życia powołane, — to siła niepojęta niezgłębionej mądrości i Wszechmocy, — filozofią nie zrozumiesz, formułką nie obejmiesz, bo to nieuchwytne, idealne, niedoścignione, to myśl żyjąca w przyrodzie, — to boskość w ludzkości.

* * *

Nasza nieznajoma mogła mieć lat 23, rysów twarzy napozór bardzo prostych, twarz drobna, prawie dziecinna, czoło stosunkowo niewielkie, rysów wydłużonych, nos trochę spiczasty, podbródek ostro się zarysowujący, oczy wpadnięte, prawie bez życia i wyrazu, kibić zwykła, szyja krótka, włosy szatyn, niebardzo gęstych rozmiarów, — otóż i cała nasza nieznajoma; do tego dodaj skromną sukienkę, dość niezgrabnie dopasowaną do figury, a masz przed sobą istotę przeciętną, codzienną, na którąbyś najmniejszej nie zwrócił uwagi.

Lecz gdy bliżej przypatrzyłeś się tym rysom, to zdawały się jakby ożywiać i wpijać w twą pamięć i duszę, — a te oczy... te oczy to cała jakaś skarbnica, którą pociągnięty zostałeś w inny jakiś świat marzeń... Tych oczu nie mógłbyś nigdy zapomnieć, — przenigdy; gdybyś je raz widział, tę myślącą symfonję wyczytał, jaką śpiewa jej dusza, — te wysokie cele życia i czynu; jakie ta wątła istota podejmuje, tę arfę nastrojoną jakby w modlitwie o rozwiązanie zagadnień życia i jego celów. — Nie, jeżeliś mógł przeniknąć w tę duszę powłóczystem tchnieniem pokory i walki się wczytać, to o wszystkiem zapominałeś, a stanąłeś przed wielkim sfinksem, który ci imponował swym ogromem, zachwycał kolorytem i ogarniał cię chęcią zostania w zaczarowanem kole tego otoczenia, tej atmosfery, gdzie panuje spokój niezmącony i myśl pogodna; — ta dusza jakby wyzwolona z kajdan błahostek tylko się zniża do swej poziomej roli, którą traktuje serjo, pięknie z godnością. — To ideał kobiety, to wcielenie pokory, to bohaterka w całem tego słowa znaczeniu.

Sfinks!!!... Na imię jej było Mania, a bliżsi znajomi zwali ją Merjem, ale to dla niej było wszystko jedno, — nie miała za złe jednym, nie chwaliła drugich; — jednakowo przyjmowała grzecznie, bez ostentacyi, bez pretensyi.

W czasie, kiedy my to opisujemy, różne nowości, poglądy sprzeczne nurtowały społeczeństwo, to nowemi ideami, ideami, które się wylęgły na tle dziwnych stosunków, jakie w ostatnich czasach weszły, niestety! na porządek dzienny.

W ukulturowanej idei społecznej, spoczywającej na zasadach ekonomicznych, wywołanej potrzebą czasu i wymaganiami obowiązku i sumienia, zakwitła po długich upokorzeniach i walkach rasowych i społecznych, idea asymilizacyi.

Nic naturalniejszego niema dla człowieka, jak dążenie do wyswobodzenia się od przesądów i naleciałości, od nienawiści i dążeń separatystycznych dla osiagnięcia praw obywatela i człowieka, zrzucenia ze siebie piętna parjasów i uobywatelnienia.

Mając jednego twórcę, jako ojca i jedyną przyrodę ze swemi nieugiętemi prawami, jako matkę, jasnem jak słońce i prostem jak jego promienie są nasze drogi, a sztandarem, który na tej drodze zatknęliśmy, jest sumienie i obowiązek.

Z drugiej strony, niektórzy szowiniści, przez fałszywie zrozumianą ideę mesjanistyczną, zatknęli drugi sztandar, pod uroczą formą sjonizmu.

Ścieranie się tych dwóch prądów wprost przeciwnych, rozdzieliło całe myślące społeczeństwo na dwa odłamy, ba, na wrogie sobie obozy, z których jeden, widocznie dodatni, rzeczywisty, drugi zaś ujemny, fantazyjny, nic wspólnego z logiką i rozumną tendencyą nie mający.

Czyż z wrogiem usposobieniem dla instytucji istniejących mamy prawo się dobijać o równouprawnienie przez te instytucje, czyż nienawiścią i arogancją dostąpimy mi-

łości, a zgniłym rozkładem mamyż pałace murować? Azali poruczając obronę praw i własności osobom trzecim, mamy prawo korzystać z tychże praw i własności narówni z nimi?

Przenigdy! Gdy nas historya kultury postawiła na wzniosłym piedestale wybranego narodu, mamyż dobrowolnie z tej wysokości ustąpić w brudną kałużę upokorzenia i zniewagi? Otóż czasy te, niestety, jeszcze trwają. Jeden tylko Bóg czuwa nad tem i jakimś cudem wyprowadzi nas z tego zamętu i obłędu, abyśmy weszli na szerszy gościniec życia, i do właściwych z duchem czasu i postępu zgodniejszych ideałów dążyli. Miejmy więc lepszą nadzieję w przyszłość; — tymczasem musimy przyjąć wypadki, jako takowe i wracajmy do naszego opowiadania.

Państwo Leonostwo Jellis, obecni właściciele naszej willi, byli to ludzie zamożni. Jeszcze rodzice obojga małżonków prowadzili domy na lepszą skalę, — już w owym czasie kształcili dzieci, a ojciec pana Leona, reb Jojne Jellis był znanym kupcem na Nalewkach, jeździł na jarmarki do Lipska i był jednym z pierwszych, którzy po 1840 r. przyjąwszy kulturę europejską, starał się, nietylko powierzchownem skróceniem kapoty, lecz prowadzeniem domu, wychowaniem dzieci, sumiennością w handlu i wogóle całą dążnością swoją lepszą, już w owym czasie nieskazitelne sobie imię w społeczeństwie wyrobić. Dzieci jego również temi samemi szlakami postępowali; opierając swoje interesa na prawości, znacznie takowe rozszerzyli,

tak, że ich śmiało do firm miljonowych można było zaliczyć.

Atoli między rodziną ojca i dzieci wogóle inny panował autorament, inne formy, inna zgoła tendencya i inny zupełnie kierunek.

Reb Jojne, przedewszystkiem miał jasne wyznanie i cel jasno wytknięty, do którego w życiu i rodzinie zdążał. Broniąc praw człowieka i stojąc niewzruszenie na straży sumienia i obowiązku, ani na chwilę nie zapomniał, że jest izraelitą i gorliwie zajął się podniesieniem ducha swych sponiewieranych współwyznawców, dotykając ich spraw oświaty i wewnętrznych potrzeb kulturalnych i sprawa jego religii była własną jego sprawą; traktował ją z godnością, szacunkiem, bo ją pojmował, kochał i za własną uważał.

Ten wysoki dla religii i swych współwyznawców szacunek w niczem mu bynajmniej nie przeszkadzał być dobrym obywatelem, grzecznym sąsiadem i usłużnym człowiekiem. Nie nosił on nosa tak wysoko, nie naśladował wielkopańskich manierów, nie krzyczał tak głośno o uczuciach patrjotycznych i obywatelskich; pracował cicho, spokojnie, skromnie, bo miał głowę, serce i sumienie. Domy jego dzieci zupełnie inaczej się przedstawiały.

Były to wielkie salony, w których piękne, ozdobne i kosztowne stały meble; — lustra weneckie z konsolami, nowomodne żardynierki, najpiękniejsze dywany wyście-

łały posadzki i ściany, zawieszone najrzadszemi obrazami.

Lokaje i kamerdynerzy w liberjach uwijali się jak fantomy; — guwernantki i bony, francuzki i angielki, oraz liczna służba przepełniała ich mieszkania. Ale tam wszędzie przewiewało pustką; — robiło to wrażenie katakumb, przepełnionych mumjami, naśladującemi niby kulturę europejską z jej wymaganiami. Między prawdziwie ukulturowaną rodziną, a takiem małpiem gniazdem żadnego porównania przeprowadzić niepodobna, z jednej tchnie ciepłotą i duchem Bożym owianą rodziną, z drugiej wyziewy katafalku i rozkład zgnilizny; tu życie wpełni, jasność; — tam ciemnota, rozkład, grób; — to obrazek nie fantazyjny, lecz z życia zdjęty, z naszego społeczeństwa, z naszych czasów.

Jak nam przyświecali przykładem Jojnowie, tak teraz ich dzieci całą falangą przedstawiają obraz formalnego zatracenia, zupełnego rozkładu, kompletnej niestety zgnilizny.

Ten sam obraz, jaki panował w salonach u nich, w Warszawie, to samo życie bez celu, bez znamiennego piętna, bez treści i jutra, prowadziło się i na willegiaturach i zapełniało zgniłą tendencyą wszystkie wille tych domniemanych pseudo-arystokratów.

To też nic dziwnego, że nasza bohaterka była duchem jakoby oderwana od tego społeczeństwa.

Bo umysł jej był za jasny, dusza za prosta, a serce wrażliwe na wszystko piękne, nie widziały celu w tem ciągłem bezmyślnem wyszydzaniu wszystkiego, co piękne, szlachetne.

Nie znalazła ona moralnego zadowolenia w tych teorjach i sofizmach współczesnych półgłówków, co zaprzeczając wszelkim prawom moralnym, urągając, wytworzyli sobie jakieś oryginalne, dziwne zaiste, o wszystkiem pojęcie.

Hasło: dobrobyt i majątek; wszystkie środki są dobre, które do nich prowadzą.

Sumienie wykreśla się... to błahostka, religja, — to wszak forma niepotrzebna, a moralność? na to odpowiedź łatwa bardzo: jak są pieniądze, — to i moralność się znajdzie.

I z uśmiechem Mefistofelesa na ustach, a z ironją w sercu, na wszystko patrzą; pod pryzmatem swej wielkości i wybujałych wymogów nieokiełznanej fantazji. W tej gonitwie bez najmniejszego zastanowienia, te wychuchane lalki bez duszy i arlekiny ambicji — nie widzą nic, prócz głębokich ukłonów, poniżających się indywidjów swe miny protekcjonalne, co ich jakąś dziką napawa rozkoszą i chwilowem złudzeniem...

Nasza bohaterka inaczej myśli, inaczej czuje; za innemi ideałami dusza jej śledzi spragniona, jej innych

wzruszeń potrzeba, więcej ludzkich, więcej moralnych, nie tak głośnych i buńczucznych.

Ona pragnie czynów, które cicho do serca przemawiają, łagodzą ból bratni i uśmierzają cierpienie bliźnich, rodzą pobudki szlachetne, łączą wszystkich ludzi, wszystkie serca bratnią miłością i współczuciem. Jej potrzeba czynów, miłości i o tem prawdopodobnie marzy nasza bohaterka.

* * *

Ojciec Mani, Leon Jellis, (który w naszej nowelce typ ciekawy przedstawia) byłto mężczyzna wysoki, barczysty, lecz o grubych rysach twarzy, rysów ponurych, niewyraźnych; chód niepewny, powolny, obejście rubaszne.

Już na pierwsze spojrzenie robił wrażenie człowieka chytrego, przewrotnego i gotowego na wszystko, dla dopięcia swoich celów.

Pan Leon mówił mało, lecz to co powiedział, nadawał słowom swoim dobitność i wagę; niby chcąc powiedzieć, że jeżeli pan Leon mówi, to tak jest.

Ojciec jego był wychowańcem szkoły Rabinów i tamże syna swego wychował. Skończywszy później wydział prawny i ożeniwszy się bogato z rodziny miljonowej, pan Leon odrazu stanął na jednym z pierwszych stopni życia społecznego, wogóle i w szczególe cieszył się niezmierną

popularnością u współwyznawców, kędy najszczytniejsze godności piastował. Im wyższe stanowisko pan Leon zajmował, tem potężniej rosła jego próżność i nienasycona żądza i pragnienie zaszczytów więcej społecznych, więcej obywatelskich, które tylko cichą pracą, długą i mozolną, poświęceniem i wypełnianiem swoich obowiązków każdej jednostce się należy bez walk specjalnych, bez frazesów i bez bałamucenia opinii publicznej.

W tej walce o jakieś wyższe i wybitniejsze w społeczeństwie stanowisko, w tej bezustannej szermierce z otoczeniem, pan Leon zapomniał, że ma rodzinę, że ma dom i dzieci, że jest izraelitą i że powinien się zająć wychowaniem swych dzieci.

Gdy całemi garściami łapał ideały w próżni, nasycał się duchowością bez liku w wyższych i jaśniejszych sferach, koło niego, w najbliższem otoczeniu było smutno, chłodno i ciemno.

Dzieci pozostawione bez opieki, hodowane to przez francuzki, to przez angielki i żona również ulegając wpływom nie swojskim, zamienili dom cały na istną wieżę Babel; takowy nie miał żadnej powagi, żadnego znamiennego wyglądu, — nie wiało zeń żadnem ciepłem rodzinnem, lub obyczajowem, a napełniał się plotkami niesmacznemi, cichem szemraniem służby wyszydzającej swych panów, przygotowaniami do balów i porządkowaniem po takowych, przyjmowaniem modniarek, krawcowych, częstem zmienianiem służby, jazdami na gonitwy,

wyścigi, rozbijaniem się po alei Ujazdowskiej w herbowych ekwipażach, no, i podobne wymysły dla przepędzenia czasu.

Ale i do filantropii jeszcze mieli dosyć czasu. Nie była to ta cicha, skromna pomoc, gdzie człowiek chce osuszyć łzę swojemu bratu, gdzie serce kobiety przejęte litością na widok nędzy, sercem i duszą szczodrą ręką niesie pomoc.

Nasze damy inaczej to robią. Jedzie się powozem do szpitali. od czasu do czasu daje kilkaset rubli na cele dobroczynne, które ogłasza we wszystkich europejskich pismach i zanim potrzebujący to otrzyma, może 40 razy ducha wyzionąć.

Ale mniejsza z tem. Przyjdzie czas, kiedy i te lalki lepszą owiane dążnością, zmartwychwstaną i ożyją pod tchnieniem Wiekuistego Mistrza, który ich do życia powoła. Gdy w tej komicznej trawestacyi wielki dzwon myśli ducha uderzy, rozbije on bałwochwalczy ołtarz próżności i zagłady duchowej i świat nowem życiem zazieleni i zakwitnie. — I życie miłością umajone, wychyli swe kielichy dla proletarjatu i dla nędzy. Zanim jednak to nastanie, niechcę się narazić swym czytelnikom i wracam do opowiadania.

Leonowa Jellis, pani Zofia była córką znanego powszechnie Ryszarda Fybelberga. Zajmując wysokie sta-

nowisko w arenie społecznej pan Ryszard i córce swojej ranne dał wychowanie.

Znała świetnie języki, literaturę, muzykę, nawet pięknie malowała, bo i to teraz należy do chorobliwych wymogów high life'u.

Jednej tylko drobnostki nie wiedziała? Nie wiedziała ona, co to jest żydówka; — nie znała świetnej przeszłości tego narodu, który tyle wycierpiał, tyle wywalczył, że narody podziwiają jego energję i wytrwałość.

Nie znała ona również bólu i cierpienia, — nie znała krewnych, bo byli biedni, — (u nas niestety, gardzi się biednymi krewnymi) nie znała przyjaciółek, bo rówieśnic między izraelitkami mie miała, a te, które ona wybierała, garnąc się do nich z uśmiechem, ba, nawet z uniżonością,— oddalały się mimowoli, usuwały, bo zimno, które od niej wiało, odsuwało je od niej. Żyła więc prawie sama, samotna w pięknych apartamentach z Goetem, Schillerem, Chateaubrianem, Wiktorem Hugo, Mantegazzą, Chopinem, Mendelsonem i Meyerbeerem. Fantazya jej rosła olbrzymio, ale uczucie konało powoli, powoli, — fantazya potężniała, uczucie skonało w agonii i popiół tylko pozostał.

Z temi zasobami pani Zofja poszła do ołtarza.

Gdy w synagodze chór zaintonował pieśń nabożną, pani Zofia stała harda, wyprostowana, bo się ukorzyć nie umiała, czy nie mogła, to statua marmurowa, w której już Fidjasz napróżnoby życie usiłował wlewać, i jeśli w tej

chwili stanowczej w życiu, dziewicę nic nie wzruszy, nie podniesie, nie zelektryzuje tego serca do prędszego bicia, co jeszcze ją w życiu wzruszyć powinno, wzruszyć może?

U tych to rodziców wychowała się Mania.

*
* *

Jakeśmy wyżej opisali, państwo Leonostwo bawili na willegiaturze w Otwocku, w pięknej willi, przy ulicy Warszawskiej, ciągnącej się równolegle do stacyi kolejowej.

Willa mieściła się wśród lasu, opatrzona suto werendami, altanami i wszelkiemi wygodami dla uprzyjemnienia pobytu na wsi.

Cała rodzina z utęsknieniem oczekiwała nadejścia sezonu letniego, bo przy ciężkiej atmosferze, która ich przygniatała w mieście; — tu przynajmniej na łonie natury swobodnie odetchnęli i nawet w mieście z przyjemnością wspominali pobyt na wsi, który nieskończony urok miał dla wszystkich. Ale, jak niema słońca bez cienia, tak i niema rozkoszy i przyjemności bezwzględnej. Takto bywa w życiu i tak też powtarza się i u bohaterów naszej powieści. W sąsiedniej willi, niemniej pięknej, niemniej okazałej, mieszkała od lat kilku rodzina Hellman i u państwa Leonostwa weszło w przysłowie: Otwock, cudowna miejscowość, powietrze zdrowotne, rozkoszne, molestują tylko komary i... Hellmanowie.

Że komary mają nieraz swoje fantazye, to każdemu z nas doskonale wiadomo; ale co przeszkadzać mogli Holmanowie, mieszkający w sąsiedniej willi i czem sobie zasłużyli na miano dokuczliwych jak komary, okaże się w dalszym ciągu naszego opowiadania.

Z samego początku czytelnik doskonale zrozumie odrazę, do sąsiedniej rodziny, gdy bez ogródki objaśnię, że pan Hollman był zwyczajnym, marnym szewcem.

Człowiek, który buty łatał... być sąsiadem takich magnatów, za jakich oni w swojem przekonaniu, się uważali. -- Pan Hollman wprawdzie kapoty nie nosił, ale on śmiał w swojej willi przeznaczyć oddzielny pawilonik na synagogę, w której codziennie zbierali się maluczcy na nabożeństwo i swojemi śpiewami ośmielali się zakłócać spokój tych dygnitarzy. Szczególniej narzekali goście pana Leona; gdyż jego sala bilardowa sąsiadowała z ową synagogą i na każdym kroku mu jego pochodzenie przypominała. Ale nie na tem jeszcze koniec.

Pan Rubin, często nagabywany przez biedniejszych letników i chorych, którzy tam przybyli dla odzyskania zdrowia, nietylko się zjawiał często gęsto i zwracał się do niego, jak do współwyznawcy o pomoc, ale często urządzał w swojem mieszkaniu prywatne koncerty na te cele, a że tam ani Battistini, ani żadna Patti nie zjeżdżała, jakże to drażniło delikatny słuch i wykwintny smak takich wybrednych słuchaczy. Na domiar przykrości, były to w takich razach motywyspecjalnie żydowskie, jak: Kol-nidraj,

Ajl erech apaim i jakże to słuchać z zimną krwią ludziom zupełnie od tej tradycyi oderwanym i nic wspólnego z nami, oprócz miana izraelity niestety, nie mający. Czyż to nie komary? Na tem jeszcze nie koniec: Pan Rubin miał syna Ojzera, który skończywszy wydział matematyczny warszawskiego uniwersytetu, w żaden sposób swego imienia na żadne inne zamienić nie chciał. Wyobraźcie sobie państwo, jak to brzmi: Ojzer Rubin!

I ten Ojzerek już od lat kilku prawie codziennie widywał się z Manią, rozmawiał z nią całemi godzinami, jeżeli nie w domu, to na spacerach, jeżeli nie na spacerach, to w Warszawie. I na to nic nie można było poradzić, a temu wszystkiemu winna nieszczęsna willegiatura. — Poznali się w pociągu kolejowym, odrazu się zrozumieli, jednakowe były ich myśli, jedne zagadnienia, jedno dążenie, cel wspólny: podniesienie z zastoju ducha sponiewieranych współbraci, solidarność wyznania, podtrzymanie życia rodzinnego i obyczajowego, skromność w ułożeniu stosunków i popęd do czynienia dobrze drugim;—oto hasła, które ich zbliżyły, związały, zjednoczyły. Według ich pojęcia rzeczy, żadna praca, żadne zgoła rzemiosło i zajęcie pojmowane rzetelnie i traktowane uczciwie, człowiekowi ujmy przynieść nie może. Najpiękniejszem imieniem jest to, jakie rodzice, w chwili urodzenia dziecka, w swej miłości rodzicielskiej i z błogosławieństwem na ustach mu nadają; każde inne, sobie nadane, jest ujmą dla godności naszej, niewdzięcznością dla rodziców i manifestowaniem wzgardy dla tego dziadka i pradziadka, po którym to imię nosimy.

Zaiste, gdy próżność i małpowanie wyrugowały wszelki ideał z naszego serca, wszelkie piękno z naszej duszy, wszelką cnotę z naszej jaźni, daje to tylko powód do pogardliwych utyskiwań i wzgardy. Gdy sami się moralnie nie dźwigniemy, gdy się sami duchowo i etycznie nie zbudujemy, wchodząc jednocześnie na prawidłowe tory życia, to nas żadne imię od wzgardy nie obroni, od poniewierki nie ustrzeże.

To też i nasza bohaterka odrazu przylgnęła do Helmana, widząc przed sobą jasną drogę, otoczoną rzęsistemi smugami świateł, które imieniem Wiekuistego tleją w duszy naszej. To wszystko nie przeszkadzało panu Leonowi uważać Hellmanów za natrętnych komarów, parwenjuszów.

Jak się to wszystko rozwiąże, zobaczymy w dalszym ciągu naszego opowiadania.

Zaiste, dziwną, ba arcydziwną bywa nieraz natura ludzka! Stosunki społeczne tak się nieraz dziwnie kształtują, — takie nieraz bywają sytuacye zagmatwane, że powierzchownie zdaje się nam niemożliwem wynaleźć jakąś istotną nić, która te wypadki do życia i czynu powołała i tak, a nie inaczej ukształtowała.

Wprawdzie sytuacye takie zawikłane rzadziej się zdarzają u ludzi normalnych, których życie opiera się na stosunkach prawidłowych, a postępowanie ich oparte na zasadach konsekwencyj, przez ogół przyjętych i przez społeczeństwo uprawomocnionych.

Ale za to, zbyt często, niestety, zmuszeni jesteśmy uchylać się na prawo i lewo od tych prawideł, tak przez własną lekkomyślność, jak przez dziwne prądy, nurtujące społeczeństwo i na szalonych bałwanach i uraganach życia, równowagi utrzymać niestety, nie jesteśmy w stanie.

Wtedy to biada wykolejonemu! Smagany ze wszech stron słuszną i niesłuszną zawiścią, deptany nieubłaganą opinją, do pobłażania nigdy nie skłonnej, szamoce się w ujemnych i plugawych prądach, jak w młynie djabelskim, szukając napróżno wyjścia na zwykłe tory, na równą drogę, w świetlejsze pasy, w jaśniejsze szlaki.

To samo się dzieje z rodziną naszej bohaterki.—Przyzwyczajeni od dzieciństwa do pochlebstw, wyniosłości, do wyszydzania wszystkiego, co w arenie życia nazywa się trochę niższą sferą, mimowoli oderwali się od swego wyznania i wiary, szukając marnych zaszczytów i próżnych wielkości wypieścili w swojej fantazyi niedostępne bożyszcze — próżność, w charakterze — arogancyę, a w całem ułożeniu—niedostępność.

Zaiste, trudno sformułować sobie pojęcie o tych wychuchanych wielkopanach, wymuskanych damulkach; — jakie są ich tendencye w życiu, jakie dążności w społeczeństwie, czego oni pragną, do czego zdążają i co zrobili dla społeczeństwa, dla bliźnich, dla swoich współwyznawców, a nawet dla najbliższej rodziny?...

Zgoła nic... To też wszystko to niezmiernie wątłe i przy lada sposobności, ku lepszemu się zmienia. Bytność

w domu Ojzera zmieniła do niepoznania całą tendencyę domu,—tak, że wkrótce i pani Zofja i pan Leon ulegli tym wpływom Ojzera i Mani.

Za wpływem pana Leona powstała w Otwocku szkoła dla dzieci izraelskich,—przytułek dla biednych, nie mających środków do leczenia się, sanatorjum dla suchotników, i utrzymywanych kosztem kilku zamożnych potentatów; między którymi przeświecają Leonowie, a wyręczają i pomagają im we wszystkiem ich dzieci ukochane i inicyatorzy, — uszczęśliwieni Ojzerowie; bo wszak nikt nie wątpi o tem, że Ojzer został szczęśliwym zięciem Leonów.

Niech ich Bóg w życiu prowadzi, bo wszak nam ludzi pracy i dążeń potrzeba; — praca prowadzi nas do szczęścia, a uczciwa tendencya—do szacunku i uznania.

Łódź dnia 1 Stycznia 1902 roku.